

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak

Przebudzenie

(...)

Poniedziałek

15 września 2008

Odkąd Zuzanna zaczęła pracować, nie zносиła wakacji. Ukrop lejący się z nieba w połączeniu z rozpalonymi murami Warszawy zniechęcał do wszelkiej aktywności i sprawiał, że opanowywało ją niepoohamowane lenistwo. Drażniący był nie tylko zastygły między budynkami kwaśny zapach potu zabieganych mieszkańców oraz lepki warszawski brud, ale i zawrozenie tramwajów, które o tej porze roku docierało także do jej kamienicy, w innych miesiącach roku odciętej od miejskiego szumu. I choć uwielbiała spać przy otwartym oknie, zwłaszcza zimą, to latem zamykała szczelnie okna, chroniąc się w chłodzie starych ścian. Dopiero pierwsze powiewy nadchodzącej jesieni budziły w niej chęć do działania. Wsiadała wtedy na rower, by dotrzeć do redakcji. Przejazdka zajmowała tylko dziesięć minut i nie trzeba się było przejmować brakiem miejsc parkingowych pod biurowcem. Do tego, chociaż Zuzanna nie przejmowała się zbytnio wyglądem, jazda na rowerze korzystnie wpływała na figurę. Wystarczały jej lekki makijaż i upięcie włosów, ale wielu mężczyzn uważało ją za atrakcyjną kobietę. Niektóre zazdrosne koleżanki twierdziły, że nawet w jutowym worku wyglądałaby dobrze. Zresztą wskutek tej naturalnej i subtelnej urody nie zaskarbiała sobie sympatii kobiet, które miały ją za głupią gąskę. Bo czy piękna dziewczyna może być inteligentna?

Z tego zastępu zazdrosnych jędz wyłamywało się zaledwie kilka pracownic redakcji, a jedną z nich była Blanka. Od trzech lat pracowały razem biurko w biurko, i nawet mocno napięta atmosfera, często towarzysząca ich dziennikarskiej pracy, nie była w stanie doprowadzić do zgrzytu w ich wzajemnych stosunkach. Zaprzyjaźniły się błyskawicznie, choć dzieliło je niemal wszystko.

Miały zupełnie inne podejście do sprawy związków z mężczyznami. Zuzanna bardzo się starała nie angażować zbyt mocno, Blanka natomiast od czasu studiów związana była tylko z jednym mężczyzną, z którym na dodatek, ku rozpaczy kilku redakcyjnych kolegów, w rok po obronie dyplomu wzięła ślub. Zuzanna, pragmatyczka, prowadziła niehigieniczny tryb życia, a przy tym nie lubiła dzieci – nie rozumiała ich, czuła przed nimi wręcz irracjonalny lęk. Blanka zaś miała dwójkę słodkich pociech, poza którymi świata nie widziała, była wegetarianką i głęboko wierzyła w uzdrawiającą moc jogi i medytacji. Zajmowała się działem horoskopów oraz zjawisk nadprzyrodzonych. Świetnie potrafiła wróżyć z kart, dlatego cała redakcja po cichu nazywała ją czarownicą.

Zuzanna pisała głównie do działu plotkarskiego, a kiedy zdarzało się jej zajmować bardziej poważnymi tematami, posługiwała się panieńskim nazwiskiem babci. I chociaż czasem po cichu marzyła o przygodzie z bardziej prestiżową prasą, to obecna praca całkowicie ją pochłaniała. Niewiele rozmyślała też o nagrodach dla tuzów dziennikarskiego fachu, które w najbliższym czasie znowu miały jej przejść koło nosa. Nie z braku aspiracji, ale raczej ze zwykłego wygodnictwa. Było jej dobrze w redakcji, wśród znajomych, przyjaciół i wrogów, bo – jak sama zwykła mawiać, parafrazując tekst z pewnego filmu – lubiła piosenki, które już kiedyś słyszała. Stąd też odkładała poszukiwanie ambitniejszych wyzwań na bliżej nieokreślone „jutro”.

Kiedy dotarła do redakcji, Blanka siedziała już przy komputerze.

– Jak tam weekend? Coś nie za dobrze wyglądasz. Czyżby Marcin tak cię wyeksploatował? – Blanka nie przepadała za przyjacielem Zuzanny.

– Och, daj spokój. Sobotni wieczór spędziłam z tymi jego współnikami i diabli wiedzą kim jeszcze. Na szczęście mam nowy temat, który oczywiście przypłaciłam niemiłosiernym kacem.

– Przy takim trybie życia nie sądzę, żebyś dożyła czterdziestki.

– Żyj szybko, umrzyj młodo, kochana, a nie tam te twoje jogi i kotlety z soi.

Obie kobiety się roześmiały.

– Śmieję się, śmieję. Ja w wieku czterdziestu lat będę wyglądała na trzydzieści, a ty na pięćdziesiąt.

– Jak sama stwierdziłaś, pewnie tylu lat nie dożyję – mruknęła z przekąsem. – Kontynuując temat niezdrowych rzeczy, chcesz kawy?

Wstała i podeszła do drzwi.

– Już idę, mam górę poczty do ściągnięcia. Poczekaj na mnie w kuchni.

Redakcyjna „kuchnia” wcale nie służyła do gotowania, lecz raczej do picia, bo szafki kryły w sobie wyłącznie sprzęt do parzenia kawy i herbaty oraz ogromną liczbę najróżniejszych filiżanek i kubków. Pomieszczenie, w którym stało kilka niewielkich stolików i krzeseł, było swoistym sercem, a może bardziej „uchem”, redakcji – miejscem spotkań towarzyskich, wymiany informacji, zawierania przyjaźni i nawiązywania romansów, ale również, jako jedno z niewielu nieprzeszkolonych miejsc na tym piętrze, było schronieniem przed czujnym okiem naczelnego. Codzienna wizyta w kuchni była zatem obowiązkiem każdego szanującego się pracownika, jeśli chciał mieć dostęp do najnowszych redakcyjnych plotek.

Zuzanna niespiesznie mieszała kawę, rozmawiając ze Śliskim Kazimierzem – osobą przeciętnej urody i podłego usposobienia – gdy do kuchni weszła Blanka.

– Co tak długo? – W głosie Zuzanny słychać było wyrzut, co było zrozumiałe, zważywszy na towarzystwo, w jakim przyszło jej celebrować picie porannej kawy.

- Wyobraź sobie, że odwalałam za ciebie kawał dobrej, nikomu niepotrzebnej roboty.
- Blanka stanęła przy ekspresie. - Wśród moich mejli był jeden do ciebie.

- To znaczy?

- To znaczy, że ktoś pomylił adres. - Kawa popłynęła przy akompaniamencie buczenia, a powietrze wypełnił ostry aromat espresso. - Myślę, że zainteresujesz się tą sprawą, bo chyba chodzi o coś związanego z tym twoim artykułem o emigrantach w Londynie. Nie czytałam dokładnie, przekierowałam do ciebie.

Obecność Śliskiego nie sprzyjała osobistym rozmowom, bo jak głosiła plotka, był głównym donosicielem naczelnego, dlatego szybko wróciły do siebie. Chwilę potem udały się na kolegium redakcyjne, które na wiele godzin zaprzątnęło czas i myśli Zuzanny, kiedy więc znowu przypomniawszy sobie o wspomnianym przez Blankę mejlu, za oknami zapadał zmierzch.

Redakcja już opustoszała, a Zuzanna jak zwykle była jedną z niewielu osób, które nadal ślęczały nad komputerem. Lepiej jej się pisało, kiedy gwar na korytarzach cichł, a rozmowy z Blanką nie zakłócały myśli. Zajrzała do poczty.

Artykuł o Londynie był właśnie jednym z jej ambitniejszych tekstów. Od jego wydrukowania minął miesiąc i do redakcji nie wpłynęła żadna petycja od zachwyconych czytelników z prośbą o przeniesienie Zuzanny do działu społecznego. Dlatego tak bardzo się zdziwiła, kiedy usłyszała, że ktoś napisał do niej w tej sprawie. Pod redakcyjnym adresem mejlowym Blanki widniała przypadkowa zbitka liter „yzegup”, pod którą prawdopodobnie krył się nadawca. W miejscu przeznaczonym na temat korespondencji autor wpisał – pewnie po to, by odbiorca od razu nie umieścił wiadomości w koszu – tylko jedno słowo: WAŻNE!

Piszący ani słowem się nie zająknął, że tekst mu się podobał, ale może to i lepiej, bo autorce raczej zależało na uznaniu trochę innego typu odbiorcy. Polszczyzna, jaką nadawca się posługiwał, była dość specyficzna. Podobnie jak cała treść.

Pani, zdaje się, jest autorką artykułu o Polakach w Londynie. Nie to, że bym tego pani szmatławca czytał, ale obito mnie się o uszy.

„Jakiś troglodyta” – pomyślała.

Jest sprawa, co by panią mogła zainteresować. Mówią w pubach, że jeden z naszych, znaczy Polak, maczał palce w morderstwie jakiegoś angielskiego szlachciury. Szczegółów nie znam, a i Scotland Yard na razie sprawy nie nagłaśnia, bo starucha zaciukano jakoś nieapetycznie, a do Polski informacje pewnie nie dotarły, bo nikt tu tego wydarzenia na razie z Polakami nie wiąże. Angol ten to chyba szycha była, jakiś wysoko postawiony wojskowy czy jakoś tak. Dokładnie nie wiem. Sprawa jednak wydała mi się ciekawa, bo

gdyby to jednak Polak był, toby starego okradł. Dom miał w Notting Hill, a tam biedni nie mieszkają i pewnie byłoby mu co z domu wynieść. Ponoć jednak nic nie zginęło, tylko ciało zbezczeszczono.

Tak czy siak, może to panią redaktorkę zainteresuje, bo w mojej opinii jak dojdą, kto za morderstwem stoi, to niezła chryja w tych międzynarodowych stosunkach zaistnieje. Tyle że ja to wolę anonimowy zostać i jak pani czegoś się więcej zechce dowiedzieć, to już na własną rękę. No a tak nawiasem mówiąc, to panią wybrałem, bo pani to się chyba w takich niesmacznych sprawach lubuje, co? Pozdrowienia z Londynu.

„Też mi wiarygodne źródło informacji” – pomyślała z przekąsem. Słownictwo wskazywało, że autor ma już swoje lata, a w Anglii raczej nie pracuje umysłowo. Doprawdy wstrząsająca wiadomość... Nawet jeśli miałyby to być bomba, to facet się przeliczył, jeśli chodzi o odbiorcę. Ani Zuzanna nie była dziennikarką śledczą – no chyba że chodziło o majtki czy inną część garderoby jakiejś gwiazdeczki – ani jej gazeta nie była odpowiednim miejscem na publikowanie tych rzekomych rewelacji.

Stwierdziła, że najwyższy czas zbierać się wreszcie do domu.

Na dworze zapadł już zmierzch. Było ciepło, tylko od czasu do czasu zrywał się lekki wiaterek. Zuzanna szła bez pośpiechu, prowadząc rower. Zirytował ją ten mejl. Niby nic nie znaczył, ale znów zaczęła roztrząsać, czy nie powinna czegoś zmienić w tym swoim jałowym życiu.

Od czasu śmierci babci lęk przed tym, że po przebudzeniu nie będzie miała do kogo otworzyć ust, był głównym motorem jej działań. Tak, bardzo bała się samotności, a równocześnie unikała silniejszego zaangażowania emocjonalnego, oznaczałoby to bowiem, że może również więcej stracić, a ona miała tego typu doznań w swoim niedługim życiu w nadmiarze. Być może właśnie dlatego Marcin okazał się dla niej idealnym partnerem. Z jednej strony chciała z nim być, bo miała z kim spędzać wolny czas. Z drugiej był to ten rodzaj bliskości, który dawał jej poczucie wolności, gdyż Marcin nigdy nie próbował zajrzeć do wnętrza skorupy, w której schowała się poraniona i wrażliwa część osobowości Zuzanny. Oboje chcieli niezależności. Nie musieli z siebie wiele dawać i niewiele oczekiwali w zamian – taki układ wydawał się dla obu stron idealny.

Ich związek zaczął się banalnie – poznała Marcina dwa lata temu na imprezie zorganizowanej z okazji premiery pewnego polskiego filmu. Pod koniec tego nudnego wydarzenia wymienili się numerami telefonów. Już następnego dnia zaprosił ją na kolację, która przeciągnęła się aż do śniadania, i od tamtego czasu zaczęli regularnie się spotykać. Wprawdzie wyraźnie określili swoje oczekiwania wobec tego związku – i

bynajmniej nie było tu mowy o wielkiej miłości – zachowali jednak zasadę wyłączności. Przede wszystkim miało być miło – i od dwóch lat to im się udawało.

Czasami Zuzanna zastanawiała się, co Maria powiedziała by na to, jak ona żyje, i zdawała sobie sprawę, że babcia nie byłaby zadowolona. Dziewczyna nie miała czasu, żeby przygotować się na jej odejście. Wszystko stało się tak nagle... W czerwcu, kilka dni po obronie pracy magisterskiej, wracała do domu z rozmowy kwalifikacyjnej, kiedy zauważyła pod bramą kamienicy karetkę. Pogrzeb, stypę i wszystko to, co działo się przez kilka następných dni, pamiętała jak przez mgłę. Nie mogła zrozumieć, jak zupełnie zdrowa osoba może umrzeć nagle na zawał serca.

Zuzanna została sama w pustym mieszkaniu. Wkrótce zaczęły napływać pierwsze propozycje pracy: mogła wybierać między kiepsko opłacanym stażem w poczytnym dzienniku i etatem w mającym nie najlepszą renomę tygodniku. Wybrała redagowanie stałej rubryki w dziale plotkarskim oraz zadowolającą pensję.

Odgrodziła się wysokim murem od przeszłości i tego wszystkiego, co mogłoby ją zranić. Dwa miesiące po pogrzebie rozpoczęła nowy etap życia. Etap, który miał być tylko przejściowy, a trwał już z górą sześć lat.

Zuzanna skręciła w wąską uliczkę, przy której stała jej kamienica. Było już naprawdę późno i czuła się trochę nieswojo. Może z powodu dziwnie migoczącej lampy, a może na skutek odgłosu czyichś kroków, które podświadomie odnotowała już jakiś czas temu. O ile na głównej, choć opustoszałej, ulicy dźwięk nie wydawał się jej groźny – ot, zwykły przechodzeń zmiierzający w tę samą co ona stronę – o tyle teraz, gdy znalazła się w tym małym zaułku, ogarnął ją dziwny lęk. Trzymając kurczowo kierownicę roweru, przystanęła i powoli się odwróciła w kierunku, z którego przed chwilą dochodziły niepokojące odgłosy. Była pewna, czuła, że ktoś za nią szedł, ale jej oczom ukazała się tylko pusta ulica.

(...)